NUMER 52. DNIA 28-go GRUDNIA 1902 ROKU ROK X

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Na cześć Bronisława Szwarca

Duch nasz się chwieje,
lecz nie jako dęby
wstrząśnięte nagle porywami burzy,
gdy słońce oczy swe promienne skryje...
Nie jak te dęby... Burza chwilę błyska,
wicher szarpaniem posad umęczony
z chmurnego nieba ostatnie zasłony
zrywa — i piersią przypada dyszącą
na dreszczem walki odświeżoną ziemię, —
a słońce znów się promieniście śmieje,
wkładając dębom tęczowe korony
na dumne czoła!

Duch nasz się chwieje, jako te drzewiny,
wyrosłe w męce kędyś na rozstaju,
gdzie wiatr wiekowy przeciągły a drżący
zawodzi płacze...

Gdzie krzyż przydrożny poczerniałe z bolu
w mgliste przestrzenie rozpościera ręce
i czeka smutny, aż się łza jesienna
wszystka wyleje...

Duch nasz się chwieje!
Krzyż na kurhanie stoi niemy, czeka,
cierpieniem święty, mocny i cierpliwy...
A kędyś w dole żyzne wschodzą niwy, —
lasy się w górę pną i zielenieją, —
Jakaś szeroka pierś dyszy nadzieją, —
szeleszczą skrzydłem jasnem ptaki boże, —
siła jakowaś rośnie, wzbiera falą, —
tryskają wielkie promieniste zorze, —
a duch się chwieje pod krzyżem i słania,
niby ta wątła przydrożna drzewina!

* * *

Aleć, zaprawdę, nie nasza to wina!
Wszak my od wieku, jak hojni szafarze,
pod miecz katowski ducha oddawali,
by Polskę zbawić!

Duch się nasz kurczył — siła krzepła, rosła,
więc dziś my, jako łódź mocna i pełna,
na oceanu dziejowego fali
płyniem bez steru... Tylko krzepkie wiosła
prą kędyś z siłą...
A duch, kotwicę chwytając oburącz,
pełnemi chęci, smutnemi oczyma

w krzyże cierpienia swego zapatrzony,
słania się, chwieje!..

* * *

Bracia! skupiajmy drobiny ostatnie,
łączmy w miłości dłonie nasze bratnie,
piersią przy piersi stawajmy w szeregi!
Baczność!.. Świt nowy w oddali jaśnieje!
Baczność!.. Widnieją jakieś nowe brzegi!
Do steru bracia!
Skupmy się przy sterze...
Dłoń w dłoni trwajmy w miłości i wierze,
niech lód zawiści na sercach roztaje.
Bracia r a z e m idźmy!
Polska wstaje!!
Niechaj bez ducha nie płynie w mielizny...

* * *

Czyżby się wyprzeć tej naszej spuścizny,
jaką nam duchy wielkie zostawiły,
schodząc w przedwczesne, męczeńskie mogiły?
„Ale twardo, ale jasno,
Wśród narodu swego stać,
Myślą bić, chorągwie rwać,
Świecić czynu tarczą własną!“
Może wszyscyśmy tu winni,
Lecz ty, Panie, nie masz win,
Ty się nigdy nie zachwiałeś,
Tyś jest wierny Polski syn!
To dla Ciebie — nie piosenka,
spamiętana z dawnych lat,
nie przelotny obłok myśli,
nie uszczknięty kędyś kwiat!
I nie złotostrunnej harfy
dla igraszki słodki dźwięk,
nie junacki nagły płomień,
nie w ostrogi dziarski brzęk!
To jest hymn Twojego życia,
Twej gorącej duszy treść...
Twardo stoisz na wyłomie,
więc Ci, Panie, chwała — cześć!
Dużo było, jest i będzie
znojnych, ciężkich, krwawych dróg,
co prowadzą nasze kroki,
w wymarzony wolny próg.
Ty wybrałeś tę najtwardszą,
kędy stopy rani głaz,
ale kroków wstecz nie cofasz...
Ty wyprzedzasz hyży czas...
Umiesz jasno w przyszłość patrzeć,
myśl i serce górnie nieść,
Polskę kochać mocą czynu...
więc Ci, Panie, chwała — cześć!

Zofia Poznańska.

30)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

„Palowe mieszkanie w Starym Grodziku (Alt Gorzig) należą również do okresu żelaznego, wymiar pali wynosi 8 do 10 cali. Grobowisko w wydmie piaszczystej“. (Tamże Ver. 176). Dalej opisuje prof. Virchow starą osadę palową przy młynówce (Mühlenbach) poniżej Koszalina (Cösling) „Między palami leżały, jak w Liptowskiem jeziorze, gałęzie, ale mniej kamieni, natomiast w Koszalinie rzędy palów są gęstsze. Poszczególne pale stały często o pół stopy ledwo od siebie odda-

lone i tak, jak mnie o tem robotnicy zapewniali, jak sam po części widziałem, zawsze jeden dębowy między dwoma sosnowymi. Pale same były, wedle swej grubości częściowo nieobrobione, częściowo nieregularnie albo w czworokąt ciosane. Jeden pal miał rynnę na dwa cale szeroką, na jeden głęboką, a w niej wiele dziur prawie na przestrzał o calowym przekroju. Prócz prostopadłych pali, znalazły się często takie, które krzyżowo do siebie były ułożone i u góry ślady zacięć miały. Między palami leżały, ale nie wszędzie, regularne poziome poprzecznice w ziemi około 5 do 7 stóp długie, gdyż o ten wymiar właśnie rzędy palowe były od siebie odsunięte. Około 10 kroków od brzegu, 5 stóp od siebie oddalone były dwa mostki, na gęsto obok siebie ułożonych 3 do 4 stopy długich, głównie sosnowych plankach.

O tych mostach jest dokument Jaromara z r. 1291 w którym jest mowa o „blancae pontes“. Na jednej skorupie o pstrej glazurze był zachowany ślad pozłocenia. Na innych miejscach okręgu Koszalińskiego znalazłem ślady dawniejszej lub późniejszej ludzkiej działalności i utwierdzeń palowych... w dziejach Koszalina ciągle się powtarzają natrafiania na pale. (Tamże str. 215.). „Dla dolnych Łużyc i przyodrzańskiego działu Pomorza, Śląska, Meklemburga i Saksonji udało się odnaleźć wspólny typ grodowo-palowy. Wszystkie te grodziszcza i palowe mieszkania są słowiańskie“ (Tamże str. 235).

Te niezmiernej doniosłości dane, dotyczące kultury materjalnej Słowian północno-zachodnich powiększa prof. Virchow o dokładne zbadanie przedhistorycznej przeszłości słynnego Wolina.

Koło Wolina między Jeziorem Wamą, Daneberskiem, Kozłowskiem i Koprowskiem istniało połączenie, a kiedy przed 40 laty (w r. 1839) spuszczano je, znaleziono w potoku, łączącym Daneberskie jezioro z Kozłowskiem, resztę łodzi i pale dębowe...

Przy kopaniu naprzód znalazł się cały materjał odpadków kuchennych. (Porównaj poprzednie wywody autora przy „Terramare“ węgierskiem), a potem mieliśmy nakoniec przyjemność dosięgnąć palów i tak po upływie może godziny pozyskaliśmy zbiór przedmiotów, które nie pozostawiły nas w wątpliwości, że tu prawdziwa budowla palowa istniała. Stwierdzam wyraźnie że i tu ornamentyka i układ naczyń glinianych zgadzały się ze znalezionemi na lądzie skorupami. Kości przeważnie były wole, owcze, świńskie, końskie i kurze“. Jak daleko wstecz sięgają dzieje Julina, miasta palowego, nikt o tem nie wie, tak samo jak nie można wiedzieć początku Adrji i Rawenny, które jeszcze w późnych historycznych czasach były miastami palowemi. (Zeit. f. Ethnol. IV. Ver. 58, 60, 61).

Nawet na południe od Pomorza, w krainie która wedle podań samych Serbów, Serpoi, Siepów ze względu na zawód rolniczy od „Serpów, Sierpów“, Serbją się zowie, istnieją również wyraźne ślady przynależności do palowej kultury. Według Virchowa, stolica Serbji Chociebuż (Kołłbus) „jest bezpośrednio wyrosła z budowli palowych“ (Zeit. f. Ethnol. IX. Ver. 449). — „Dalej zamek w Sassowie koło Chociebuża ma w sobie układ palowych mieszkań, a co najważniejsze tak, jak w Płocowie, grodziszcze budowane na palach“. (Tamże str. 127). W Brandenburgji „Seelów starem swojem osiedleniem należy do północnych osad palowych“. (Tamże str. 115). — Również odkryto starą budowlę palową w Berlinie przy „Stralauerstrasse“. — W sąsiedztwie Brandenburgji na Pomorzu istnieje układ palowych mieszkań w jeziorze „Płońskiem“.

„W sprawozdaniu z ułożenia belek drzewnych w Raciborzu wraz z naczyniami glinianemi“, tak pisze odnośny autor: „Znalazło się to wszystko w głębokości 3 m. i składało sie z desek stykających się, które na wysoki kant były ułożone, deski były 1·25 długie, 4 do 5 ctm. grube, 30 ctm. wysokie wewnątrz słupami były utrzymywane, i zdaje się że łupane nie ciosane“ (Zeit. f. Ethnol XVI. Ver. 33).

Dość liczne są już budowle palowe odkryte i zbadane w księstwie Poznańskiem. Należą do nich pałanki w Pawłowicach (Zeit. f. Ethn. VI. Ver. 229), w Komorowie (Tamże X. Ver. 229). Schwartz donosi „o budowli palowej w Łagiewnikach pod Kościaną“ i zestawia je z utworami na palach „w Poznaniu, w Czeszewie, Gorzycach, Sassowie, Objezierzu i Pawłowicach“.

W Łagiewnikach znalazł też p. Schwartz babę do wbijania pali z rękojeścią opaloną i z dębową głowicą, (Zeit. f. Ethnol. XVII. Ver. 176). — W okręgu obornickim znaleziono pale w Starym Grodziku. — Do znanych poprzednio budowli stwierdzonych przez prof. Sokołowskiego, w Ostrowie na jeziorze Lednicy i w Gdeczu zaliczyć należy zbadane przez Virchowa Przemęcie i Zaborowie.

Przy tej sposobności stwierdza Virchów, że naczynia, które widział w gabinecie krakowskim z pod Czemny, Łomży, Tykocina i Kobylnicy w Krakowskiem, i z budowli palowych Czeszewa i Pawłowic należą do tego samego typu, które ozdobami i techniką odrębne znajdują się tam wszędzie „gdzie były tylko słowiańskie osiedlenia“. W Prusach wschodnich zbadane przez Dr. Heydecka budowle palowe, należące do okresu metalowego, znajdują się w jeziorze Arys, Pulewo i Schonstayn obok Lęku (Lyck). Do najmłodszych przez powyższego badacza odkrytych osad na palach należą ślady w Szymonkach i w Arklitach. Virchów zbadawszy palowe budowle w jeziorze Aldyńskiem twierdzi, że należą one do najnowszej epoki żelaza. Wszystkie zaś czerepy czy z Rugji, Wollina, Kamienia lub tu znalezione „należą do typu budowli palowych i grodowych połnocy“. W Aldyńskiem jeziorze znaleziono również żarna do rozcierania ziarna na mąkę (Zeit. p. Ethnol. V. Ver. 108, 132).

Niejaki p. Treichel odkrył palowy układ Grodiszcza w Paliszkach, kawałku kraju „otoczonego bagnem na półwyspie wśród jeziora“ i dodaje następujące uwagi własne z licznego oglądania grodziszcz powzięte. „Miejsce wendyjskiego (słowiańskiego) zamczyska niesłusznie przesuwają na pagórki, leżą one faktycznie, jak się tu znów potwierdza, zawsze w bagnach, błotach i łąkach, albo budowano je głęboko w jeziorze. Głównem utwierdzeniem były bagna. Wśród usług oddawanych zwyczajnie w wendyjskim kraju, najczęściej nazywane i najważniejsze były budowania grodiszcza i mostów, jeśli wały utonęły częściowo lub całkiem w błotach, jak to wiemy ze źródeł“. (Zeit. f. Ethnol. XVI. 319).

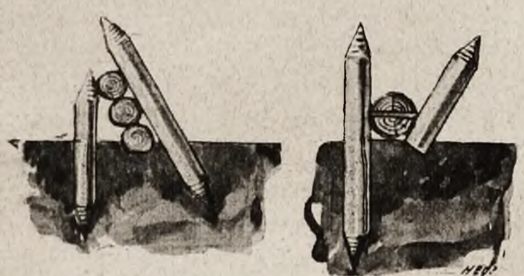
Z Elbląga znowu p. Anger donosi o palowych budowlach (Tamże XII.). — Prof. Virchow zdaje sprawę z osobistych spostrzeżeń palowego mieszkania z Aries w Inflantach, które nie tylko nazwą zgadzają się z tem, w Prusach co w Arys wschodnich było znalezione ale że należą oba do żelaznej epoki. „Wyspa na tym jeziorze (Aries) okazała się doskonałem palowem mieszkaniem od dna samego. Na dnie kładziono belki poziomo w licznych warstwach. Wiele kawałków drzewa było korą okrytych i tem, rozróżnić można było łatwo osiki, dęby, brzozy. Są też pomiędzy nimi ostro zaciosane drzewa, w cienkie deski rozcinane, w poprzek przerznięte, tak że każdy spostrzec może, że to nie toporami krzemiennymi i nie bronzowymi było obrobione, i że budowla palowa należy do epoki żelaznej. Jestem więc mniemania, że mamy przed sobą doskonałą budowlę palową późnego czasu, nie starszą jak budowle palowe naszych okolic i że mieszkańcy mogli jeszcze oglądać rycerzy niemieckich i niemieckich księży“.(Zeit. für Ethnol. IX. Ver. 434).

Znamiennym, również dla ówczesnej słowiańskiej sztuki inżynierskiej, zabytkiem którego ślad mamy również w zapiskach archiwalnych, są pomosty błotne, czyli rodzaj dróg przez bagna budowanych. Opisał je szczegółowo niejaki p. H. Conwentz w dziełku „Pomosty bagienne w dolinie Sorgi na granicy Prus wschodnich i zachodnich“ („Ein Beitrag, zur Kenntniss der Naturgeschichte und Vorgeschichte des Landes“. Gdańsk 1897). Zestawia on tam przejrzyście szereg dotąd znanych dróg palowych i daje dokładny opis układu fizycznego między Prusami wschodniemi a zachodniemi. Następnie opowiada o odkryciu wielu pomostów błotnych w dolinie Sorgi, a szczególnie o dwu większych, które w rozmaitych głębokościach w torfie leżały, i w całem swojem rozpostarciu przez wykopywanie odpowiednich dołów mogłyby być zbadane. Pierwszy pomost łączył obydwa brzegi doliny między Christburgiem a Storchnestem przy Proklewicach na długość 640 metrów. Drugi na północ od poprzedniego położony, od wschodnio pruskiej strony przy Baumgarth wiódł do wschodnio pruskich wzniesień do Heiligenwaldu, gdzie „Szwedzkie szańce“ (jak wiadomo niegdyś Świa-Tyn, Tyny Swatla) tworzyły głowę pomostu długiego na 1231 metrów. — Obydwa składały się z powierzchni utworzonej przez na poprzek kładzione kłody (Kloben), i podsta-

wy z kołów drzewnych, które na długość gęsto obok siebie stały. Głównie używano pni dębowych, żelaznym toporem obrabianych, ale nie w promiennych kierunkach jak to przy rzymskich progach pomostowych w północno-wschodnich Niemczech z reguły bywa. Całkiem w dnie bagna leżała jeszcze warstwa faszyn z brzozy, wierzb i jodeł. Kłody powierzchni samej pomostu były po obu końcach w prostopadłe otwory zaopatrzone, w których sterczały kiedyś paliki pod poręcz; podobne pale znalazły się licznie na zewnątrz wzdłuż pomostu.

W biegu lat musiał pomost z powodu powodzi być często naprawiany, ponieważ częściami znajdują się te same układy trzypiętrowo jeden nad drugim. Najwyższa część musiała być prawdopodobnie wyłożoną darnią lub torfem, bo nie wskazuje stanem swoim na zużycie. W pomostach samych obok wielu bab do wbijania palów znaleziono kości końskie, bydlęce, świńskie i liczne skorupy urn.

Nakoniec podamy wyobrażenie wału grodowego przy Kęcinie, który odkopał i zdjął prof. Virchow. (Zest. f. Ethnol. XVI. Ver. 49.).



(Wał grodowy przy Kęcinie).

Oto zabytki palowych mieszkań w kraju o którym pisał Długosz że: „kraj Polski i należące do niego ziemie, leżąc nisko, po większej części równo z oceanem Sarmackim, mają wielką ilość jezior, których od bagien nikt nie odróżnia“. — Jakoż wiele źródeł historycznych stwierdza wyraźnie to zjawisko na ziemiach słowiańskich a zwłaszcza polsko-pomorsko-połabiańskich, którego istnienie dane językoznawcze i starożytnicze odkrycia wyraźnie stwierdziły. — Jornandes (552 po Chr,) powiada wyraźnie, że Słowianie „błota leśne mają za osady mieszkalne“ (Cap. 5), a dalej że „lud omawiany, według podań dziejowych, mieszka blisko błot Maeotyckich, w miejscach wodą przybierających, które Grecy „hele“ (to jest bagna) nazywają“ (Cap. 23). Mamy więc tu wyraźne stwierdzenie właściwości gospodarczych słowiańskich.

Al Bekri, który w 10-tem stuleciu wyżej na północ leżące kraje słowiańskie poznał, mówi o pomoście podobnym, jaki stwierdził Conwentz na rozgraniczu Prus wschodnich i zachodnich, co następuje: „Ztąd do mostu 50 mil a jest to most drewniany na milę długi“. Adam Bremeński (1076) opowiada o Retrze, że to „miejsce pogańskim bogom poświęcone, gdzie jest zbudowana świątynia a w niej wielkie demony z których księciem jest Radegast“. A dalej: „Gród ten ma dziewięć bram, sam otoczony głębokiem jeziorem, po którem drewniane pomosty do niego zdążają“, a dalej że „gdzie scytyckie bagna wpływają, najszlachetniejszy gród Julin, o którym już skądinąd wiemy, że na palach był zbudowany. Hellmold, proboszcz z Bozowa na Pomorzu, autor „Kroniki słowiańskiej“ z 12 stulecia, mówi o grodzie połabiańskim **Plune, który jest otoczony dokoła jeziorem a długi most daje wejście wchodzącym do miasta**“ (Ks. 57). Tam „obległ Światopołk Kanuta“. (Ks. 48). — Otto Hein w swojej „Historji gospodarstwa starych Prus aż do czasów krzyżackich“ (Altpreussische, Wirtschaftsgeschichte bis zur Ordenszeit) mówi wręcz że „palowe mieszkania były osadami rodowemi mieszkańców Prus“. Oliwska kronika starsza (I. p. 677. Script. rer. Pruss) tak powiada: „Trzy zamki miał pewien szlachecki Prusak imieniem Pipin, **w jeziorze**, które do dziś dnia zwą jeziorem Pipińskiem“ (Zeit. fur. Ethnol. XXII. 195. Ver.). Szajnocha w dziele „Jadwiga i Jagiełło“ wyraża się znowu o Wielkopolsce przecież od Połabia i Pomorza na południe leżącej: „Cała okolica kruszwicka, była podobną do ogromnej wyspy, oblanej na okół wodami stąd wielka jej obronność“ (Tom I. str. 6). (D. n.)

EMMA JELEŃSKA

24)

Z MIŁOŚCI.

A on mówił wolno, plącząc się i przerywając. Mówił o swym błędzie, o swej bezmyślności, o swych względem niej winach, przyznawał się do nich. Mówił, że przejrzał teraz i gotów wszystko naprawić i życie rozpocząć na nowo, życie wspólne. Bo ją kocha. Byleby mu ona dawną ufność wróciła, i postarała się również i dawną miłość powrócić.

— Ty wiesz — mówił — że ja ciebie kocham. Nie rozumiałem czego ci potrzeba, to prawda. Byłem ślepy. Ale teraz wiem. Nie umiem o takich rzeczach mówić pięknie... Ale ty zrozumiej... zrozumiej... że ty dla mnie... że... ja bez ciebie... Ja jestem człowiek poważny, przywykły do pracy, nie do gadania. Ale jeśli chcesz, to o wszystkiem mówić ci będę. Bylebyś ty... bylebyś ty...

Nie! nie mógł mówić o takich rzeczach! Odwrócił się — i zasłonił sobie twarz. Teraz dwie łzy po niej zwolna ściekały.

Ona ich nie widziała. Nie widziała tych męzkich łez, co biegły ze zbolałych powiek, znacząc drogę swą jak rozpalonem żelazem. Ze spuszczoną głową, stała przed nim, nie gniewna już, ale nie przejednana. Może on tu nawet i niewinien był, tylko że istniał cały świat pojęć, do którego on ze swym praktycznym, realnym, poważnym, jak mówił, umysłem wprost dostępu nie miał. Nie rozumiał — ot i wszystko! A jeśli nie rozumiał dawniej, to nie zrozumie i dziś. Może on winien nie był. A teraz cierpiał, to pewno! Szkoda go — bo dobry był, porządny człowiek. Ale cóż ztąd? Pomimo wszelkich wysiłków, i najlepszej woli, i najszczerszych chęci — dawna miłość nie wróci i nie wrócą zapał i siły zmarnowane i ufność i wiara. Te już leżą w głębokim grobie.

Cicho zaczęła mówić. Za swe uniesienie przepraszała — była niesprawiedliwą. Posądzać go o złą wolę nie miała prawa. Ale to, co się stało, trudno już naprawić. Sama czuje, że sił już nie ma do rozpoczynania życia na nowo. Za późno już. Dawniej szukała przewodnika, mistrza, doradcy — nie znalazłszy, opuściła ręce i już niczego nie szuka. Dawniej pragnęła mieć przyjaciela, módz myśli swe dzielić — dziś już i tego nie pragnie — nie potrzebuje dzielić się myślami.

Nie potrzebuję dzielić się myślami, powtórzyła zcicha — i zamilkła.

I w pamięci obojga stanęła dawno miniona chwila, gdy wśród ciszy i słodyczy szarej godziny te same słowa wyrzekł on. O, jakże dawną, jak oddaloną była ta chwila! Jak inną jeszcze była od obecnej!

A jednak od niej to powstała ta drobna szpara, niewidzialna prawie, przez którą sączył się lodowy strumień nieszczęścia, aż zalał ich domowe ognisko.

Dziś na rozpalenie ogniska tego nie mieli już w sobie paliwa. Za późno było — zapóźno!

XVII.

Odtąd życie ich było jak ścieżka stroma, kamienista i twarda przed nimi, na którą nie padał żaden promień słońca. Wlekli się po niej uznojeni i beznadziejni. A dusze ich były ciężkie od łez niewylanych i od wzajemnego rozżalenia.

Karol zamknął się w sobie, rzucił się do pracy, szukał w niej choć chwilowej ulgi, choć chwilowego zapomnienia. Ale nie znalazł. Z kart książki, z białych arkuszy aktów, z kolumn cyfr, wyłaniała się twarz żony gniewna i zrozpaczona. Wśród gwaru ulicznego, wśród rozpraw sądowych dźwięczały mu w mózgu jej słowa: „Zabiłeś mnie, zamordowałeś!“ Zrywała się w nim chęć szalona przebłagania jej jeszcze, rzucenia się jej do nóg i całowania skraju jej sukni, spróbowania, czy się nie da przeszłości naprawić i życia rozpocząć na nowo. Ale gdy spojrzał w jej twarz zakamieniałą — odwaga go opuszczała. Zamykał się w swoim gabinecie, jak ranny zwierz, co

się boi ludzkiego wzroku — i w długich godzinach samotności odwracał i wykręcał nóż w swej bolesnej ranie. Jedyną ulgę sprawiało mu zajęcie się ukochanemi swemi sprawami społecznemi. W zbiorowych, ogólnych cierpieniach jego osobiste roztapiało się i bladło. W wysiłkach, mających na celu uzdrowienie mas, własna jego dusza zaczerpywała trochę świeżości i siły a sumienie trochę spokoju. To też z coraz wzrastającą gorliwością rzucał się do pracy. Był duszą, bodźcem, doradcą i niezmordowanym pracownikiem w każdej sprawie, mającej dobro na celu. I tylko, gdy jakaś pomyślna zdobycz wpadła w jego ręce, albo zwrot szczęśliwy pozwalał nadzieje żywić, albo nasionko zaczynało w kwiat się rozwijać — wtedy tylko oczy jego nabierały blasku i jakiś blady uśmiech rozsuwał mu usta. Coś ty taki osowiały? pytał go czasem Rucz — interesa twoje dobre, żona zdrowa, na rękach cię wszyscy noszą, jakby półboga jakiego, a ty wyglądasz jak półtora nieszczęścia. Chory jesteś, czy co?

— Nie, zdrów jestem — tylko trzeba mi dużo, dużo roboty. I dalej chodził, szukał, namawiał, pisał z gorączkową gorliwością.

— Gdyby ona w tem ze mną była! szeptał do siebie, wracając ze swych pożytecznych wycieczek do smutnego swego domu. Gdyby ona w tem ze mną była! I żal go porywał piekący za tem, co być mogło, gdyby... gdyby...

Ona mniej cierpiała. Od tylu lat zżyła się ze swym losem. Po dawniejszych próbach, po zawodach, po rozpaczliwych usiłowaniach, po ostatecznem zniechęceniu — przyszedł względny spokój. Wyrzuciła z serca dawną miłość, otrząsła się z niej i głowę podniosła do góry. Spojrzała wokoło. Wzniosłość, dusza, ideały, zaświaty, poezje i metafizyki — to były panieńskie mrzonki. Miłość czysta, braterstwo idei, wspólność celów — zbankrutowały. Pozostał mąż — fakt niezaprzeczony i dla niego wierność i grzeczność były jej obowiązkiem. Zresztą, nic więcej. A już zmiany w nim ani chciała, ani pragnęła — przeciwnie obawiała się jej, bo mogłaby ten względny jej spokój, zdobyty jednak takim kosztem, zakłócić. Już nie potrzebowała dzielić się myślami — z mężem zwłaszcza.

Wprawdzie rezygnacja ta tem łatwiejszą była, iż pustka jej życia coraz bardziej się wypełniała osobą Lutka i jego potężnym i jak świat olbrzymim egoizmem. On jej myśli pochłaniał, wysysał, pożerał — on jej czynnościami kierował, dyktował jej prawa, suggestjonował jej chęci i zmieniał w posłuszne sobie narzędzie; rzucał ją na klęczki przed własnem swojem bóstwem i napełniał ją dla siebie bezgranicznem uwielbieniem.

A za to dawał jej spojrzenia i uściski, którymi sam się lubował, lał na nią potoki słów pięknych, których brzmienia sam słuchał z rozkoszą, odurzał ją i siebie zarazem dymem pochlebnych kadzideł, upajał wonią zakazanych kwiatów, olśniewał, drażnił i rozczulał — umiał trącać w najśpiewniejsze struny, umiał dotknąć najczulszych miejsc i wytwarzał dookoła niej i siebie atmosferę słodką, a zawrotną. I szła ona ku niemu, otoczona aureolą złudy, odmłodzona jego pragnieniem, zapatrzona w niego jak w ostatnią na swem niebie gwiazdę, depcąc rzeczywistość, niepomna przeszłości, obojętna na przyszłość, zahypnotyzowana i bierna.

On ją brał i za sobą wlókł po manowcach swej własnej duszy, po ciasnych zaułkach subtelnych rozumowań, po ciemnych zakątkach uczuć nieprawych, po drogach błędnych i krętych, po skałach i przepaściach myślowych, a ona szła za nim posłuszna.

Jednakże broniła mu się jeszcze. Mówiła jeszcze: „nie mogę“.

Będziesz moją — będziesz moją — powtarzał jej co chwila. A gdy tego nie mówił ustami, mówiły jej to samo oczy jego, mówiła sama jego obecność. Stworzona jesteś dla mnie — szeptał — sama to uznajesz — prawda? czujesz, że do mnie już należysz, żeś już moją. Pocóż się bronisz? Wiesz przecie, że jak strzała wypuszczona z łuku, leci, leci i nie może z drogi zawrócić, ani się cofnąć, ani zboczyć i musi celu dosięgnąć i w nim utkwić — tak i ty lecisz do mnie i już nie możesz się cofnąć. Jest nad nami fatum, co nas pchnie ku sobie — prawda Elegjo? wszak słyszysz jego głos? Musisz być moją, musisz. Nie powiedziałaś mi jeszcze, że mnie kochasz — uparta jesteś! Ale ja to wiem bez słów, ja to widzę. Kochasz mnię! kochasz! I przyjdzie chwila, że to wyznanie wydrę z ciebie...

Oczy jego błyszczały, gdy tak mówił — opierał ręce na jej ramionach i schylał się nad nią i był jak zwierz, co się pastwi nad zdobyczą, zanim ją pożre.

Ją dreszcz przejmował. Zaczynała się go bać. Drżącemi usty powtarzała: „Nie, nie“... Ale wiedziała, że on mówi prawdę. Nie kochała go — w tem się mylił, ale należała do niego całkowicie. Była jego tak, jak ta rzecz, którą mógł wziąć lub porzucić; jak to słowo, które mógł wypowiedzieć, lub zachować dla siebie; jak ta myśl której mógł nadać ten lub ów kierunek; jak ten biały kwiat, którego listki obrywał i rzucał na wiatr. Więc pocóż się jeszcze broniła?

— Przysięgi? mówił on czasem, odpowiadając jej ciężkim myślom — przysięgi wymyślili ludzie dla porządku policyjnego. Gdyby wierność nie obowiązywała małżeństwa — biuro adresowe miałoby zbyt wiele do roboty. Zresztą, ludziom prostym są one potrzebne może. Ale nam! I gdybyż naprawdę chroniły one od zmiany! Ale nie. Masz dowód na sobie. Przysięgałaś Karolowi miłość — a dziś czy kochasz Karola?

— Proszę cię, Lutku, nie mówmy o tem.

— Owszem — musimy mówić. Muszę ci wytłumaczyć, przekonać ciebie, Elegjo, że przysięga małżeńska jest to czysta komedja, bałamucenie siebie i innych i że jedynie naiwne panieneczki biorą to na serjo. Któż ją wypełnia tę przysięgę może mężowie — co?

— O innych nie wiem — ale Karol...

Ach, Karol! Karol jest tak naszpikowany zasadami, że na nic innego miejsca w nim nie ma.

Więc jeśli nawet i był wiernym małżonkiem, to nie ma czem się pysznić. Ty, Elegjo, to zupełnie co innego. Takie, jak ty kwiaty, nie są skazane na więdnięcie. Ty powinnaś żyć — żyć w słońcu, w jasności... Ta marna egzystencja małomiasteczkowa, głupia, burżuazyjna egzystencja, wśród tych waszych „inteligentów“ — w dodatku jeszcze naładowana teorjami, praktykami, Bóg wie jakiemi tam narodowo-społecznemi awanturami, które człowiekowi nie dają kroku stąpić swobodnie, taka egzystenja — to nie dla ciebie! Zgódź się tylko, a pójdziemy razem daleko ztąd — na krańce świata, do krajów cudzych, gdzie buja laur i cyprys cicho stoi. Zgódź się, rzuć to wszystko, Jedźmy!

Dreszcz nią wstrząsał i powtarzała: Nie! nie!

A gdy była sama, porywała ją rozpacz. Uciekać? Ale dokąd? do kogo? pod jakim pozorem? Ciotki nie było w Malinowiczach. Julka bawiła za granicą. Zresztą już i do tego sił nie miała, Jak łańcuchem skrępowana, staczała się powoli w ciemną, ponurą, bezdenną przepaść, i nie mogła wysunąć ręki, aby się chwycić przydrożnych krzaków i zatrzymać się w upadku. Z rozpaczą w duszy staczała się w dół.

W końcu lipca nastały upały tak silne, jakich oddawna nie pamiętano. W ciągu dnia ruch uliczny zredukował się do minimum. Kto mógł, siedział w domu za spuszczonemi roletami, w jak najlżejszym stroju i starał się w zupełnej nieruchomości doczekać wieczora. Codzienne przechadzki Lutka i Wandy musiały być opóźnione, i odbywały się po zachodzie słońca, gdy trochę świeższy powiew przeleciał po świecie. Szli razem w góry, lub do ciemnych lasów w zapadającym zmroku. W pustem mieście nie było obawy spotkania znajomych i chociaż po ulicach snuły się ludzkie postacie — oni czuli się samotni we dwoje, odosobnieni.

Rzeka płynęła u ich stóp, powolna, leniwa, tocząc roztopione zda się metale: złoto i srebro, płynną stal szafirową, a niekiedy rzuty rubinów i opali. Szła sennym trochę ruchem, bogata i błyskotliwa, rozgrzana także upałem, wyssana przez promienie słońca, dysząca i zmęczona. Szła i szła w nieskończoność.

A Wandzie, idącej jej brzegiem, przychodziła czasem wizja własnego ciała, niesionego na jej spokojnych falach, na tych opalach i rubinach — na tem złocie i szafirze — w nieskończoność, w dal. I słyszała wtedy, jak rzeka wyraźnie woła na nią: Chodź, chodź! chodź! chodź! a jak w niej głos jakiś obcy odpowiada: Idę, idę.

Straszne to było, a zarazem tak dziwnie pociągające i słodkie...

Lutkowi nie mówiła nic o tych wizjach. które do niej przemawiały. Bo on nie lubił jej smutków. Sam na różne tęsknoty pozwalał sobie często bez przyczyny i bez racji. Ale ją chciał mieć zawsze spokojną, kojącą, uśmiechniętą — chciał mieć zawsze jej białe ręce pieszczotliwe i świeże i jej głos łagodny i cichy i jej spojrzenie jasne. W niej nie lubił dramatów. Więc ona z uśmiechem połykała łzy, tłumiła dreszcze, z uśmiechem szła za nim posłuszna jego woli, z uśmiechem patrzała na zbliżające się fale, które ją zalewały powoli, z uśmiechem zsuwała się w przepaść.

Upały coraz się wzmagały. Ziemia popękana i sucha domagała się deszczu, liście na drzewach więdły, a powietrze było przesycone zapachem

dymu i spalenizny, jakby niosło wonie dalekich pożarów.

— „Dzisiaj będzie burza“ — rzekł Karol przy rannem śniadaniu, biorąc się za głowę. Niezdrów był od dni kilku, nie sypiał nocami, duszno mu było w pokoju, duszno na powietrzu. Gorąco odbierało mu apetyt i siły. Głowa bolała go okropnie. A jak na przekór zajęcia miał właśnie ogrom. „Dzisiaj będzie burza“ powtórzył — „nie oddalaj się od domu.“

— „Nie, nigdzie nie pójdę“ odrzekła Wanda, I spojrzała na męża. Zmienił się ostatnimi czasy, oczy miał podsiniałe, cerę żółtą, a w czarnej do niedawna czuprynie przeświecały teraz gęsto srebrne nitki. I nagle, z zagrzebanego kącika jej istoty, ozwał się wyrzut: „Jam temu winna, ja życie jego marnuję“ i strzeliło płomię żywe, gwałtowne płomię dawnej miłości. O, przebaczyć sobie wzajemnie, zapomnieć i życie rozpocząć na nowo! Ale to trwało chwilę tylko, zgasło płomię i została szara, płytka, wstrętna rzeczywistość.

Karol wyszedł do miasta, dźwigając z trudnością tekę z papierami. Ona została sama.

„Chyba doprawdy będzie dzisiaj burza,“ myślała, stojąc oparta o drzwi balkonu. Powietrze było mętne, ciężkie — a niebo, chociaż jeszcze błękitne, nie miało przezroczystego blasku pogodnych dni. Rzeka w dole toczyła bezbarwne wody, i szła, szła...

Na piersiach Wandy leżała dziwna ciężkość, coś ją tam jak kleszczami ściskało i co chwila krople potu występowały jej na czoło. Otworzyła drzwi i chciała wyjść na balkon, ale takim żarem na nią buchnęło, że się coprędzej schroniła w głąb pokoju.

W pustem mieszkaniu tkwiła straszna jakaś nuda z każdego kąta wyzierała, cicho powiewając szarymi łachmanami, wieszając się po ścianach i rozkładając się po sprzętach. I pod jej dotknięciem gasły blaski, barwy robiły się matowe i brudne, kwiaty w wazonach zwieszały boleśnie główki. Zegar na konsoli znaczył sekundy takim znękanym, gderliwym głosem! Z zewnątrz żadne dźwięki nie dochodziły przez zapuszczone rolety — i w półcieniu, w ciszy, w spiekocie i w duszności ciało omdlewało, a duszę ogarniał smutek.

Wanda próbowała czemś się zająć. Robota leżała na stole, książki piętrzyły się na półkach, fortepian otwarty wystawił swe klawisze, na biurku pod przyciskiem listy ciotki i Julki czekały odpowiedzi. Ale niepodobna było nic robić. Litery plątały się przed oczami, ściegi wykręcały się w ręku, to małe to duże, dzwoniły pulsa w skroniach — niesmak i obrzydzenie do wszystkiego chwytały za gardło. Ręce osuwały się bezwładnie na kolana.

„Na burzę się zbiera — na burzę...“ powtarzała bezmyślnie, wlepiając oczy w desenie firanek. I nagle strach ją ogarnął. Burza! będzie burza! Zerwała się i zaczęła przebiegać pokoje. „Jakaż jestem dziecinna,“ rzekła do siebie po chwili — „czegóż się boję? Choćby i była burza — choćby we mnie piorun uderzył — to i cóż? Czy może mi być gorzej, niż jest. Byłby przynajmniej koniec — koniec wszystkiemu — był by spokój i cisza.“

I znowu stanęła przed nią wizja własnego ciała niesionego w nieskończoność, w ciszę, w błękit, w jasność wiekuistą.

O, rzucić się w te fale! zatopić się w nie i zginąć, i zniknąć — zanim się stanie to, co jest nieuniknione, co czyha na nią, co ją porwie nieodwołalnie i czemu ona już oprzeć się nie ma siły.

O, rzucić się w te fale, czystą jeszcze, nieskalaną i umrzeć bez grzechu.

Bo umrzeć musi. Świadomość tej konieczności nosi w sobie — ani na chwilę z nią się nie rozstaje. Nic, nic już jej od śmierci nie wyratuje. Śmierć jest przy niej — bliziutko, idzie za nią krok w krok — nie odstępuje jej wcale szpieguje ją, czatuje na nią, zimna, surowa, nieubłagana śmierć.

A więc, jeśli to stać się musi, to jakże miło byłoby umrzeć czystą, nieskalaną — bez grzechu!

A jednak... o Boże! o Boże!...

Stanęła przed zwierciadłem i spojrzała w nie uważnie. Czy wygląda jak człowiek skazany? Nie. Wysoką jej postać owijały miękkie fałdy szlafroka, szyja wynurzała się z koronkowych tiulów, taka giętka, połyskująca atłasem skóry — dokoła powiewały różowe wstążki. Włosy związane wysoko w bujny węzeł lśniły się na skrętach ciemno-rudą barwą, bogatą i gorącą. Mnóstwo drobnych loczków powiewało na szyi i przy skroniach. Twarz nie była też bladą — przeciwnie, na policzkach kwitły jakby namalowane niewielkie rumieńce i usta znaczyły się barwą świeżej jagody. Tylko

oczy były jakieś inne, jakieś większe, głębsze i ciemniejsze, jakby już z innego świata patrzące.

— A jednak — jestem piękna jeszcze, wyszeptała powoli. Jeszczem warta.... szczęścia i miłości... Ach, miłości! miłości! zawołała nagle, chwytając się za głowę. Rzuciła się na fotel. Ognisty ból ją przeszył – ból nigdy nienasyconych pragnień i rozszalałych w tęsknocie zmysłów — ból bezgranicznej rozpaczy. Ach, kochać! być kochaną! przeżyć choć jedną tylko chwilkę zupełnego szczęścia i zupełnej rozkoszy, a potem niech się co chce stanie.

Z zasłoniętą rękami twarzą, wpół leżąc w fotelu — wiła się z bolu. Każda cząstka jej ciała, każda kropla krwi cierpiała.

Nie słyszała kroków, co się zbliżały powoli i nie widziała schylającego się nad nią Lutka. Ocknęła się. On klęczał przy niej.

Spojrzeli sobie w oczy i wnet wzrok ich się rozbiegł, a jej twarz pokryła się rumieńcem. Lutek zaczął mówić. Życie, jakie teraz pędził, to była piekielna męczarnia, to była tortura. To mogło przyprawić o chorobę, o śmierć nawet! Dziś przez całą noc nie spał — jakieś mary go dręczyły, siadały mu na łóżko. Swojego Marcinka z pięć razy budził i kazał się oblewać zimną wodą, ale to nie pomagało. Oddychać nie mógł. I teraz jest taki zbiedzony, taki nieszczęśliwy, że słów nie ma, któreby to mogły wypowiedzieć. Zlituj się nademną, Elegjo! Wszak widzisz, że ja bez ciebie żyć nie mogę! Doprawdy, to nawet nieuczciwie tak kogoś dręczyć. I siebie również, boś i ty znękana, smutna. Nie zaprzeczaj! Widzę, że mię kochasz. Ty nie wiesz jeszcze, czem jest miłość. Chodź ze mną, ja cię zaprowadzę w krainy prawdziwej miłości. Przezemnie poznasz czem jest szczęście. I ja przez ciebie doznam niewysłowionych słodyczy — czuję to, wiem. Takie jak ty kobiety — to nektar boski, to kwiat przedziwnego blasku i woni odurzającej — to hasysz. Ach, Elegjo! Nie zwlekaj już dłużej. Spójrz na mnie swemi kochanemi oczami, uśmiechnij się swoim dobrym uśmiechem — i powiedz: tak!

Ale oczy jej były przymknięte, a na ustach nie uśmiech, ale poważny, surowy wyraz osiadał. On prosił znowu, mówił o swem osamotnieniu, o pustce swego życia, które jakby wisiało na włosku ich miłości. Prosił, błagał, przekonywał. A głos jego stawał się coraz bardziej pieszczotliwy.

Na dworze ciemniało, zrywał się wicher, i szeleścił w liściach. Co chwila, chmura jakaś pędząca przysłaniała słońce i w pokoju robiło się to jasno, to ciemno. Po ścianach i sprzętach chodziły blaski i cienie goniły się po ścianach. Powietrze było ciężkie i drażniące. A wielki pęk lilji białych, stojących na stole, rozsyłał dokoła upajającą woń.

Wanda nieruchoma i milcząca nie odpowiadała. I myślała: Może on ma słuszność, może on mi da to, czego przez całe życie pożądałam, może jego miłość będzie naprawdę rajem? Czego ja jeszcze bronię? Cnoty mej, czci? Gdzież są już one! Wszakże już od dawna wierną żoną nie jestem — do Karola nie należę. Pocóż męczyć i jego i siebie? Z nim znajdę szczęście może... Coś w niej szepnęło: Egoista! A jednak mnie kocha – odpowiedziała temu głosowi — a ja tak szalenie pragnę być kochaną. Może on tę tęsknotę moją ukoi.

— Zgódź się — on mówił — a zabiorę cię ze sobą daleko, daleko! I już nigdy smutek najmniejszy czoła twego nie zachmurzy. I będziemy razem w słońcu, wśród pieśni, wśród kwiatów, na falach morskich, pod drzewami rozkwitłemi. I będziemy szczęśliwi! Ach, zobaczysz! Nie będzie już ani tych obowiązków, ani tych zasad, ani tych wszystkich okropnych rzeczy! Żyć będziemy dla siebie. Ja cię tak kocham, tak kocham, jak nigdy dotąd nie kochałem. Zrobisz ze mną wszystko co zechcesz. Wstał z klęczek.

— A dziś, niewiem, co mi jest. Odszedł od niej i zaczął chodzić po pokoju. Ciągle mi to zimno, to gorąco. Wiesz, ja chory jestem przez ciebie. Zobacz, jak moje pulsy biją.

Wziął jej obie ręce i podniósł je do swojej twarzy. Twarz ta była rozpalona, choć blada a w skroniach tętniała krew. Wanda czuła pod palcami ten strumień jego życia, bijący w gwałtownych rzutach.

— Widzisz — szepnął — widzisz jak mi źle bez ciebie. Chory jestem — biedny, taki biedny! Pociesz mnie. Bądź dobrą dla swojego Lutka. Powiedz... powiedz, przyjdziesz dziś do mnie? ja zabiorę cię w krainę prawdziwej miłości — przyjdziesz?

Ona odpowiedziała: Przyjdę.

Radość błysnęła w jego twarzy. Ty skarbie, ty boska! zawołał. I puścił jej ręce. Ruchy jego stały się żwawsze, znikło przygnębienie. Spojrzał na zegarek. Teraz pół do trzeciej — rzekł —

Wkrótce będzie obiad. Ja nie będę. Niezdrów jestem i siedzę u siebie cały dzień. O piątej Marcinka wyszlę na drugi koniec miasta, drzwi będą niezamknięte. Przyjdziesz?

— Przyjdę.

Porwał ją w objęcia, przechylił jej głowę i twarz jej i przymknięte oczy począł okrywać pocałunkami. Czegoś ty jeszcze smutna? mówił, rozwesel się, uśmiechnij! Zobaczysz, jacy my będziemy szczęśliwi razem w słońcu, wśród pieśni, wśród kwiatów, na falach morskich — pod drzewami rozkwitłemi — daleko! zobaczysz. Ale na pewno przyjdziesz?

— No, więc idę już. Pożegnaj mnie swoją dobrą twarzą, uśmiechnij się...

Wanda podniosła oczy, usta jej zadrgały, rozchyliły się popchnięte z wewnątrz wysiłkiem woli i złożyły się do uśmiechu. Twarz jej zajaśniała raz jeszcze, jakby padł na nią promień słońca.

I on odszedł zadowolony i szczęśliwy.

A wielka czarna chmura naleciała na słońce, zasłoniła je i zgasiła wszelkie barwy i blaski na świecie. W mieszkaniu zrobiło się ciemno — zda się, grób stanął otwarty.

— Teraz muszę umrzeć — wyszeptała Wanda i załamała ręce.

Karol wrócił na obiad z bólem głowy, zdenerwowany upałem i nadchodzącą burzą. Co chwila przyciskał ręce do skroni, które go bolały strasznie. Spoglądał z niesmakiem na nalaną zupę. Zasiadł jednak do stołu i starał się przełknąć kilka łyżek.

— Gdzie Lutek? spoglądając na jego puste miejsce.

Przysłał powiedzieć, że niezdrów i że dziś nie przyjdzie. Kazałam mu obiad zanieść.

— Takie powietrze musi przyprawić o chorobę — zauważył Karol, opierając na ręku swe rozbolałe czoło.

— Bardzo cię boli? spytała ona, a w głosie jej była jakaś oddawna nie słyszana serdeczność. On podniósł na nią oczy ciemnemi obwódkami otoczone. — Bardzo. — Odparł.

— Trzeba żebyś się położył i odpoczął trochę — może zaśniesz. I zaraz po obiedzie zmusiła go, aby w salonie na kanapie się położył. Tu było najobszerniej i najmniej duszno. Przyniosła mu poduszkę pod głowę i pochyliła się nad nim, chcąc ją podsunąć.

On rękę jej przytrzymał. A zostaniesz przy mnie? szepnął. I przeraził się słów swoich, bo zdało mu się, że żądał za śmiało, że nie miał już prawa od niej nic żądać. Od dnia, gdy mu rzuciła te okrutne słowa: Zabiłeś mnie! Zamordowałeś! — mógłże do niej tak się odzywać? I zląkł się teraz, że ona obrazi się i odejdzie, a on tak pragnął jej obecności, jej widoku. Z jego wymęczonej duszy szła taka szalona tęsknota do niej!

Lecz ona uśmiechnęła się blado i nie puszczając jego ręki, przysunęła sobie nizki stołeczek, usiadła na nim i rzekła — zostanę.

Zrobiło się cicho. Za przysłoniętemi oknami wicher się zrywał, miotały się gałęzie drzew, piasek kłębami leciał przez ulice — chmury przewalały się jedna za drugą po niebie. Ale w pokoju było cicho. Karol leżał z przymkniętemi oczami, trzymając w swoich rękach rękę żony — nieruchomy, jak gdyby się obawiał spłoszyć słodycz tej chwili. Wanda, skulona przy nim, niknąc w cieniu, z głową pochyloną nizko, siedziała cichutko.

Tylko zegar na konsoli wydzwaniał sekundy.

Szły sekundy jedna za drugą, szły i szły w nieskończoność, jak fale tej rzeki co tam za oknami szumiała. Tworzyły się minuty, kwadranse i czas uciekał i straszna godzina nadchodziła.

A tam, za ścianą czekał tamten, któremu dziś rano po trzykroć siebie przyrzekła, czekał nieubłagany.

— Teraz muszę umrzeć, powtórzyła sobie Wanda. I w zmroku cichego mieszkania owiał ją chłód — poczuła, że tuż za nią bliziutko, stanęła ona — śmierć.

Spojrzała na męża. Nie spał jeszcze — powieki mu czasem drgały. Ale już na całej twarzy rozlewał się spokój, rysy zwolna sztywniały i sen go ogarniał. Otworzył jeszcze oczy i spróbował do niej się uśmiechnąć — tak jak niegdyś....

Tak jak niegdyś...

A za ścianą czekał tamten. Zdało się jej, że słyszy jego niespokojne kroki, że czuje znowu jego bijącą krew. Dziś rano po trzykroć mu siebie przyrzekła.

Więc teraz, gdy mąż zaśnie mocno, ona pójdzie do niego... Wszak mu już myśli swe i wolę oddała. I znosić to będzie dzień po dniu, dzień po dniu. I żyć będzie w kłamstwie, we wstydzie

w zbrodni. I patrzeć będzie w oczy mężowi zdradzanemu.

Jak niegdyś Olecka — zupełnie jak Olecka.

O, gdybyż przynajmniej tamtego kochała! Ale nie — nie kochała go. Szła ku niemu posłuszna, skrępowana jego egoizmem, zniewolona jego rozkazem, podniecona jego młodością i męzką siłą, zwyciężona jego pochlebstwem, wdzięczna mu za te dymy kadzideł, którymi ją otaczał, łaknąca wrażeń nowych dla swego znudzonego umysłu, pragnąca z życiowej czary wysączyć jeszcze choć kilka kropel słodyczy, tęskniąca do jednej jeszcze, choćby złudnej wiosny. Ale nie kochająca.

Więc co ją pędziło? co ją ku niemu parło? cóż to było?

To było potworne samolubstwo mężczyzny, który dla dogodzenia namiętności swej gotów świat z posad poruszyć, a gdy chodzi o zdobycz — jest mistrzem. I odwieczna słabość trzydziestoletniej kobiety, którą zadowolona próżność i niezapełniona pustka życia rzucają skrępowaną do stóp zwycięzcy.

Tak, tu nie było nic więcej.

O, lepiej umrzeć; umrzeć sto razy! zatonąć cicho w tych falach szumiących i zniknąć.

Ty, śmierci — przyjaciółko! Ty, śmierci — wybawicielko! nie odchodź — weź mnie... szeptała Wanda. I czuła ją tuż, bliziutko przy sobie.

I powoli tonąć zaczęło we mgle wszystko, co ją otaczało — i ludzie i rzeczy i sprawy wielkie i małe. Oddalały się od niej, zapadały gdzieś, ginęły, a ona stała na wysokości i z góry patrzała na tych ludzi, których kiedyś znała i na te sprawy, w których brała udział i na ten świat cały i na to życie, co było jej życiem. I widziała życie swoje, jak długą drogę, bielejącą wśród niezliczonych dróg innych — oświetloną dziwnem jakiemś, nieziemskiem światłem. Widziała je teraz jasno — dzieciństwo sieroce, bujną młodość, pełną marzeń i pożądań i pierwszy płomień miłości. Płomień ten rósł potężniał, rozżarzał się w pożar — wszystko przy nim bladło, zdawało się, że świat ogarnie. Ale powoli podmywał go mały strumyczek lodowatej wody, skrapiał go przenikliwy deszczyk. A ona nie miała czem go podsycić i nie umiała rozdmuchać go i w trwałe zamienić ognisko. Więc gasł, gasł, aż zostawił po sobie kupę popiołu. I już nie tlała tam żadna iskra.

Ale obok ciągnęły się drogi inne, również oświetlone blaskiem miłości, a jednak nie ziejące w końcu nagiem popieliskiem. Życie cioci, Miłkowiczej nie kończyło się klęską. Więc czemuż ona...?

Nagle zrozumiała. I ciocia i Miłkowiczowa nie samą miłością żyły. One w sobie miały dość siły, aby życie swe wewnętrzne nie czynić zawisłe od niego. Kochały, ale jak wolne dusze, nie jak niewolnice, zawisłe od mężowskiej łaski lub niełaski. Ciocia, w tamten świat zapatrzona, tam sobie skarb zbierała, a dla męża i dla ludzi miała serce oddane i czułe, ale nie od nich zależne. Miłkowiczowa dla siebie nie miała marzeń, a ukochawszy swoich całkowicie, wypełniwszy serce swe miłością po brzegi, dbała o ich szczęście, ale nie pytała o wzajemność, ani czekała od nich zapłaty. Nagrodę zaś miała we własnej duszy, w samotnem i trochę dumnem jej uznaniu. Obie były to nie bluszcze powiewne, które muszą koło dębów wić się i z nich czerpać soki, ale drzewa wielkie, rozłożyste, rosnące o własnej sile, żyjące własnem, indywidualnem życiem, dające wiele, a nie potrzebujące niczego. Istoty samoistne, skończone, pełne — nie połowice mężów swoich. Kobiety, które chociaż kochały miłością silną jak śmierć, sobie same wystarczały, silne więc dobre. Nie szukające dla siebie podpory, więc mogące być podporą dla innych. A mogły one być tem, czem były, tylko wyrobieniem w sobie tej stalowej sprężyny własnego ideału, tylko zahartowaniem własnego ja i świadomem oddaniem go w służbę umiłowanemu celowi. One wiedziały, czego chcą w życiu.

— A ja? czem byłam? — myślała Wanda: Bluszczem, ljaną i słabą, słabą istotą. Nie wymaganiem od męża zaufania, nie wyczekiwaniem jego zwierzeń, ale dzielną pomocą przy budowie gmachu wspólnego życia, mogłabym stać mu się przyjacielem. Nie miłosnem uczepieniem się, ale samodzielną postawą i samodzielnem trwaniem, mogłabym wzbudzić jego szacunek i pozyskać uznanie. O, nie dość miłości w małżeństwie! Kobieta, która tylko w oczy umie patrzeć mężowi i od niego wyczekuje wszystkiego i która jest przed nim jak karta biała — taka prędko mu obrzydnie — i sama zawiedzioną będzie i zwiędnie i zgorzknie w próżnem oczekiwaniu. Dobrą i szczęśliwą żoną może być tylko kobieta — człowiek. A ja nie byłam człowiekiem. Byłam

tylko, tylko kobietą. I moja miłość nie była miłością dobrą. Zmarnowałam życie.

Podniosła głowę. Karol spał teraz spokojnie z ręką w jej dłoni. Jaki on był blady i zmieniony I jemu życie zatrułam — dodała sobie w myśli — i wpił się w jej serce robak zgryzoty. Żal, żal ogromny ją ogarnął – wszystko zmarnowała.

A na poprawę było już zapóźno.

Za późno. Serce miała wyschnięte, siły wyczerpane, wolę złamaną, a we krwi wszczepiony przez tamtego jad, który ją pożerał. Zmienić siebie, naprawić błędów już nie mogła.

A gdyby? Gdyby rzucić mu się na szyję, jemu — najszlachetniejszemu, jemu — niegdyś tak ukochanemu mężowi i wyznać wszystko i błagać o ratunek. On — ten dobry, ten dzielny — on jej poda rękę, przygarnie ją i obroni. I może jeszcze... może... Wszak on ją kocha jeszcze...

Spojrzała znowu na męża. W nieruchomej jego twarzy, zdało jej się, że czyta dla siebie przebaczenie za przeszłość, a obietnicę przyszłości. W głębi jej serca zabłysła iskierka nadziei. On ją obroni, on jej nie da...

Tymczasem on oczy otworzył i patrzał na nią. Snać ani ruchem, ani słowem nie chciał spłoszyć cichego czaru tej chwili — nie chciał wracać do rzeczywistości. Było mu dobrze leżeć tak pod jej wejrzeniem, trzymać jej rękę i czuć ją przy sobie blizko i to nie zimną i obcą, ale jakąś słodką, złamaną, dobrą. Lękał się, że wnet pryśnie ten czar i ona podniesie i spojrzy na niego obojętną swą twarzą i odsunie się od niego i znowu pozostanie sam ze swym ciężarem na sercu.

Ale ona nie odsuwa się wcale, lecz owszem pochyliła głowę i ustami przylgnęła do jego ręki. A była w jej pocałunku jakaś pokora nieznana dotąd — i niema prośba o ratunek, o opiekę i oddawanie mu się znowu — i jakby obietnica jakaś i przysięga.

— Wando! szepnął on i serce zaczęło tłuc mu się w piersi — Wando...

Nie mógł dalej mówić.

Nagle — gwałtowny dzwonek przeciął zmrok i ciszę. Jak uderzenie bicza, zabolał ich oboje. Podnieśli się. Czar prysnął. Rzeczywistość objęła ich znowu i zimną obręczą otoczyła ich piersi.

Z przedpokoju dochodziły głosy, stąpania. Wanda podniosła roletę. Gnane wichrem tumany kurzu zasłaniały widok. Niebo było białawo-szare, rzeka toczyła stalowe wody, na których pobłyskiwały gdzieniegdzie białe czubki fal. Burza wisiała na niebie.

I znowu chłód ją owiał — poczuła, że ona śmierć, stanęła tuż za nią, bliziutko.

Do pokoju wszedł Rucz. W palcie był z kapeluszem w ręku. Zaczął się tłumaczyć. Śpieszył bardzo. Stała się bieda — przed chwilą otrzymał depeszę. Nięcki, Bartek, panna Maryla, Łaniński — wszyscy wpadli. Ale tu grozi to samo Wojtkiewiczowi, może i Jankowi, tembardziej, że dziś właśnie miało być posiedzenie, więc wszystko najpiękniej przygotowane. Oni, Bogu duszę winni, ani przypuszczają. Trzeba tejże minuty lecieć do Wojtkiewicza i do Janka — tego pewnie w domu nie ma, więc żonę uprzedzić, zrobić jaki trzeba porządek. Ale prędko, prędko! Bo niechybnie stanie się nieszczęście.

Karol był już gotów. Wkładał płaszcz, szukał parasola. Przelotem spojrzał na żonę. Ona stała, jak gromem rażona, z załamanemi rękami, z bezgraniczną trwogą w oczach. Ostatnia nadzieja rozwiała się. On, obrońca — uchodził. Porzucał ją na pastwę tamtemu, albo jej — śmierci. Czuła już na sobie lodową jej dłoń.

Karol się zbliżył. Wando, ja muszę tam być. Ale co tobie jest? — wyglądasz tak dziwnie, co tobie jest? moja Wando?...

Z jej zaciśniętych ust wyrwał się krzyk błagalny: „Zostań!“

— Widzisz, że nie mogę...

— Prędzej, prędzej! nie marudź! – wołał z przedpokoju Rucz.

— Zaraz wrócę, może za godzinę wrócę. Tam chodzi o los kilku rodzin — o mnie samego może. Nie mogę. Ale, moja najmilsza, uspokój się. Widzisz, że z całej duszy chciałbym..

— Karolu! prędzej — chodźże.

— Postaram się zaraz wrócić dodał żonie na ucho, biorąc jej rękę.

Dreszcz targnął nią całą. Targnęła nią rozpacz, wystrzeliła płomieniem — i opadła. Niech się spełni fatum! Przymknęła oczy i wyszeptala: Pocałuj mnie Karolu.

A gdy on przytulił ją do siebie i usta swe położył na jej twarzy, dwie wielkie łzy spłynęły cicho z jej oczu.

Wyszedł — a ona stała wciąż nieruchoma.

Franciszek zamknął drzwi za odchodzącymi

i wszedł do salonu. Proszę pani — zaczął, — pan Lutek już dwa razy przysyłał, prosi o jakąści książkę, co pani miała dać. Że, mówi, o piątej akuratnie miała być ta książka ; a teraz, mówi, po szóstej i jeszcze niema. Tak ci sam ma po tę książkę przyjść — ci jak?

— A! już po szóstej... prawda! A miała być o piątej. Zaraz — niech Franciszek powie, zaraz... w tej chwili... przyszlę tę książkę... w tej chwili...

— „Teraz muszę umrzeć“ — rzekła Wanda głośno, gdy Franciszek wyszedł.

Nie poruszyła się jednak. W ciszy mieszkania stała z załamanemi rękami i z oczami przymkniętemi. I znowu życie jej całe stawało przed nią wyraźnie i takie się wydawało krótkie — ach, takie krótkie, a razem takie oddalone, takie jej obce! I te dziecinne lata, pełne ruchu i uciechy, i te młodzieńcze rojenia i zapały, i to przeczucie szczęścia ogromnego jak świat i ta miłość, co wystrzeliła jak kwiat wonny i uroczy, i połączenie z ubóstwianym i to życie wspólne, przeplatane radością i łzami — i to żrące pożądanie czegoś więcej, więcej — i głód duszy nienasyconej i więdnięcie w samotności i pustce i to dziwne omamienie, ten obłęd ostatnich dni — ten impuls, co ją zaprowadził nad brzeg przepaści. O, jakże to wszystko było już dalekie! Patrzała na to z góry, z jakiegoś szczytu, na którym stała odosobniona, samotna bez bolu już i bez goryczy i bez niepokoju, jakby z innego już świata — bo teraz musiała umrzeć.

Umrzeć — usunąć się od walki, do której sił nie miała — wyjść czystą jeszcze z zasadzki, w którą weszła nieopatrznie — wyrzeczeniem się życia okupić winy i zapieczętować śmiercią złożoną niegdyś przysięgę wierności. Nie stać ją było na świadectwo życia. Dać mogła już tylko świadectwo śmierci.

Umrzeć? A potem co? „Boże miłosierny“ szepnęła, „jeśli ty widzisz moją duszę, to widzisz też i niemoc moję. Wiesz, że żyć nie mogę — nie mogę...“

Błyskawica rozdarła niebo, a za nią odezwał się poważny głos grzmotu. Znowu błysnęło — znowu zagrzmiało i wicher zawył. Zrobiło się prawie zupełnie ciemno. Ogromnie rozstrzępiony obłok czarny nadlatywał a pod nim wiły się blade chmurki. Rzeka coraz prędzej szła.

A tuż, przez ścianę, czekał tamten, niecierpliwy i nieubłagany.

A ona, śmierć, kładła na niej swą zimną dłoń i mówiła: Chodź!

„Idę już — idę!“ Porwała się z miejsca, i zaczęła gorączkowo się śpieszyć. Coś jej wewnątrz powtarzało: Prędzej! prędzej!

Pobiegła do swego pokoju, zarzuciła na swą luźną suknię długi płaszcz ciemny i włożyła kapelusz. „Nie, pomyślała, tak mię poznają“. Zdjęła kapelusz i okręciła głowę chusteczką. Przeszła przez swój buduar i stanęła chwilę przy kwitnących w kielichu liljach białych — schyliła się nad niemi i jedną wyjęła z wody.

Na dworze miotała się już burza. Słońce zupełnie się schowało za gęstą zasłonę chmur, a te kłębiły się i przewalały na niebie, raz wraz rozdzierając się ognistą błyskawicą. Wicher wył.

W mieszkaniu była cisza i zmrok. Tylko w salonie, przez jedno odsłonięte okno, padało światło bladawe na leżącą jeszcze na sofie poduszkę, a w niej znaczył się kształt głowy Karola. Znowu zatrzymała się przy tej sofce i rękę położyła na zmiętą poduszkę. Stała tak chwilę ze spuszczoną głową — i nagle szybko pobiegła do jego gabinetu. Tam, na biurku zawalonem papierami, złożyła trzymaną w ręku lilję białą i nie odwracając się, rzuciła się ku drzwiom.

Prędzej! prędzej! mówił jej wewnątrz głos jakiś. „Już idę — już idę“ odrzekła.

Lecz teraz strach ją przeszył na wspomnienie tamtego. Może on stał przy drzwiach swoich nadsłuchując — może usłyszy naciśnięcie klamki i kroki jej na schodach — może wyjdzie, spojrzy jej w oczy, weźmie ją za rękę. Ach, a wtedy — wtedy zginie. „Nie chcę, nie chcę...“ powtarzała, stojąc oparta o drzwi wchodowe, i drżąca na całem ciele.

I znowu poczuła tuż, bliziutko za sobą — Ją, Śmierć. Ale teraz nie była ona złowrogą, nie była przerażającą. Owszem, przyjaciółką była i opiekunką. Brała ją pod swój płaszcz, zasłaniała przed tamtym i prowadziła do wiecznej ciszy, do wiecznego odpoczywania.

Ostrożnie nacisnęła klamkę, drzwi się otwarły ujrzała przed sobą zbiegające wdół wschody. Raz jeszcze rzuciła okiem w głąb swego mieszkania. W sercu poczuła ból ostry, jakby się ono rozdarło na szmaty. Wyszła i drzwi zamknęła za sobą.

Cicho, lekko i szybko zstępowała ze schodów, gnana przeraźliwą trwogą przed tamtym, co czekał zniecierpliwiony, gniewny — tak blizko! tuż, poza ścianą. Zdawało się jej, że lada chwila usłyszy za sobą kroki jego i poczuje jego rękę na swem ramieniu. Dusza w niej martwiała na tę myśl.

Gdy wyszła wreszcie na ulicę, odetchnęła swobodnie. Tu jej dosięgnąć nie może.

A jeśli z balkonu spogląda w dół? Jeśli ją widzi — i gonić będzie?

Chyłkiem, tuląc się do ścian, biedz zaczęła wzdłuż domów, twarz coraz głębiej kryjąc w koronkowę chusteczkę.

Wiatr ją gnał, rozwiewał fałdy jej płaszcza i włosy burzył na czole. Gnał ją też głos wewnętrzny, mówiący: Prędzej! prędzej! Gnały fale rzeki pędzącej z nią razem, fale stalowe, mętne, wzburzone, wołające wyraźnie: Chodź, chodź! Gnała zimna ręka Jej, Śmierci, co szła za nią, oblewała swem lodowem tchnieniem wiodła w nieskończoność.

Zmrok na świecie zapadał pod ciężkim baldachimem chmur, błyskawice latały coraz gęstsze po niebie, rzucając błękitne i krwawe blaski — grzmoty ryczały na wysokościach, drzewa wiły się, jak w konwulsjach, ludzie i zwierzęta kryli się pod dachami. Tylko ona szła jedna, biegła przed siebie, samotna wśród rozhukanej burzy, oślepiona łunami błyskawic, ogłuszona wyciem wichury, nieprzytomna już i bez tchu — biegła ku temu grobowi, co tam otwarty na nią czekał.

Mijała domy i ulice, parkany i nizkie chatki. Aż ją otoczyły sosny leśne i rzeka głośniej jeszcze zaszemrała u jej stóp. Nawpół żywa upadła na ziemię, oparła głowę o pień sosnowy. W górze, po wierzchołkach drzew, szedł głośny rozhowor szumiał las rozkołysany. Wicher się zrywał i opadał. Chmury warczały gromami. Gdzieś poza nią, nad miastem, ulewa już wyła i syczała.

Tylko na zachodzie wązka, złota pręga żegnała zachodzące słońce, a nad nią rozkwitło róż pęków kilka. I rzeka pochwyciła to złoto i te róże, i wśród stalowych fal swoich, wzburzonych i szemrzących, rozsiała je długą wstęgą. I migotały one, płynąc za zgasłem już słońcem, i szły — szły w nieskończoność, w dal...

„Oto twoje łoże“ szepnął z wewnątrz jakiś głos do niej — „bogate, ukwiecone łoże — godniejsze od tego, które ci tamten zgotował“.

O, godniejsze! godniejsze stokroć! I nie za tamtym żal ją ogarniał, żal coraz większy, który rósł w niej, olbrzymiał i zalewał jej serce, tak, jak powódź zalewa łąki i pola. Lecz za tym pierwszym, za ukochaniem młodości, za umiłowaniem najgorętszem jej życia, za tym, któremu niegdyś przysięgała: „a że cię nie opuszczę, aż do śmierci“...

Aż do śmierci! A więc, aż do chwili obecnej gdy od własnej słabości, od zdrady, od grzechu, chroniła się pod skrzydła śmierci — wybawicielki. Teraz musiała go opuścić, musiała serce od niego odedrzeć i odejść i zniknąć i pożegnać na wieki. I w chwili tego pożegnania, miłość jej wzbiła się wysoko — urosła tem cierpieniem i tą rozpaczą, wyolbrzmiała — i buchnęła z niej płomieniem. „Kocham — kocham — kocham“ szeptała, wyciągając ramiona i obraz jego brała w nie i tuliła do serca i chłonęła w siebie, aby tam był i pozostał na wieczność całą — na wieczność całą.

A ból rozstania rozdzierał ją i bunt się w niej podnosił. O, życie rozpocząć na nowo, przy nim — dla niego!

Lecz przeraziła się tej żądzy szalonej, co się w niej jeszcze rwała do życia. Wszakże ona teraz musiała umrzeć. „Prędzej! prędzej!“ głos w niej mówił. Zerwała się na nogi. — „Idę już — idę“ odrzekła. A Jej, Śmierci, zimna ręka położyła się na jej ramieniu i pchnęła ją ku łożu usłanemu z róż i ze złota.

Błyskawica przeleciała po niebie. Rzeka zajaśniała niebieskiem światłem. Zagrzmiało. Wiatr przeleciał po szczytach sosen, zaszumiał, zahuczał — wzburzył bielejące w ciemnościach fale, zakołysał na nich różami i złotem — i ucichł. Ciężkie i wielkie, jak łzy, krople deszczu zaczęły padać na ziemię.

„Prędzej! prędzej!“ wołał głos. — „Idę już“ odparła. Stanęła nad wodą. Łódź uczepiona u brzegu, daleko się wysuwała nad wzburzoną rzeką. Chwiała się, podnosiła i pochylała, a fale obijały się o nią z pluskiem i powtarzały wciąż: Chodź! chodź! Chodź! chodź!

„Idę już“ powtórzyła ona — wstępując do łodzi.

Stanęła na jej brzegu. Raz jeszcze spojrzała w stronę miasta, które łuną swych latarni migo-

tało wśród deszczu — wyciągnęła ręce, a z ust jej wyrwało się wołanie: „Karolu przebacz!“ Raz jeszcze wzniosła oczy na złotą wstęgę zachodu, a z piersi jej podniosło się westchnienie: „Boże bądź miłościw!“

I cicho pogrążyła się w ciemne wody.

A rzeka przygarnęła ją, otuliła, okryła — i szlakiem ze złota i z róż utkanym poniosła ją w dal, w bezmiar, w wiekuistą światłość...

K o n i e c.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Zdziarski Stanisław.* Szkice literackie. Lwów. Księgarnia polska. Warszawa. E. Wende i Sp. 1903. 8-ka. str. VIII i 311.

Książka niniejsza jest zbiorem prac, po części drukowanych dawniej w pismach naukowo-literackich, po części wcale gdzieindziej nieogłoszonych. W szkicach tych jest pewna ciągłość, bo niemal wszystkie — z wyjątkiem jednego, — tyczą się dziejów romantyzmu polskiego z doby jego zaczątków najpierwszych, t. j. pomiędzy 1820 a 1831 rokiem, ze szczególnem uwzględnieniem wpływów obcych, które naonczas najsilniej działały na odradzającą się poezję narodową.

Znajdujemy tu rozprawę p. t. „Klonowicza pamflet przeciw Jezuitom“, w której autor dowodzi, że Klonowicz nie był wcale autorem „In Jesuitas actio prima“, tylko Wojciech z Kalisza. Kwestja autorstwa tego pisemka politycznego czekała oddawna na rozwiązanie, bo pisemko to wstrząsnęło ogromnie umysłami i wywołało szereg broszur polemicznych *pro* i *contra*. — Z kolei przystępujemy do dwu notatek do pism Mickiewicza. W pierwszej p. t. „Przyczynek do genezy „Powrotu Taty“ wskazuje autor na źródło angielskie, na poemat Moora „Raj i Peri“, który zapłodnił umysł Mickiewicza pomysłem balladowym. Druga notatka „Data napisania Świtezianki“ ustala ostatecznie datę tego utworu, o którą toczył się spór pomiędzy prof. Chmielowskim a Tretiakiem. Na podstawie nowych materjałów przyznaje autor szłuszność twierdzeniu pierwszego. — Długa i wyczerpująca praca o Maurycym Gosławskim, którego setną rocznicę urodzin niedawno obchodzono, kreśli całokształt życia i twórczości tego poety-żołnierza, którego pewne piosenki dotychczas nie utraciły swojej popularności. Praca ta ukazała się przed czterema laty jako tomik 8-my „Życiorysów sławnych Polaków“. Obecnie jest znacznie powiększona i uzupełniona nowymi faktami. — Rozprawa p. t. „Witwicki i Żukowski“ wykazuje, że jedna ballada polskiego poety nie jest niczem innem, jak tylko parafrazą „Świetlany“ Żukowskiego. — Z kolei następuje szereg prac o utworach Słowackiego: tłem byrońskiem poematów, a nadto w części historyczno-obyczajowem zajmują się rozprawy o „Hugonie“, „Mnichu“ i „Żmii“. Ostatnia z tej kolekcji „Eoljon“ z „Wacława“, jest paralelą pomiędzy Eoljonem a Orciem z „Nieboskiej komedji“.— „Chronologja młodocianych utworów Zalewskiego“ zajmuje się ustaleniem dat dumek „słowika ukraińskiego“ do roku 1841. Tom cały kończy się pracą p. n. „Mickiewicz i Lermontów“, w której autor wykazuje oddziaływanie naszego wieszcza na poetę rosyjskiego. — Strona techniczna wydania jest bez zarzutu.

NOTATKI. *Zbiory muzealne Towarzystwa ludoznawczego* we Lwowie powstały tylko i wyłącznie dzięki ofiarności osób, związanych z tem Towarzystwem. Na zakupno bowiem nawet najniezbędniejszych okazów nie wystarcza Towarzystwu zasobów finansowych. W każdym jednak razie po kilku latach zebrało się sporo przedmiotów etnograficznych, niejednokrotnie cennych i pouczających. Liczba inwentarza przekroczyła już nr. 160, a trzeba dodać, że pod jednym numerem mieści się często kilka lub nawet kilkadziesiąt okazów. Najcenniejszym, choć dotąd wcale niezbadanym przedmiotem w tych zbiorach jest 123 plomb z Drohiczyna ze znakami świąt z XIV wieku (dar p. K. Bołsunowskiego z Kijowa). Do ciekawszych okazów należą: model domu włościańskiego z okolic Nowogródka (dar p H. Dybowskiej), model drzwi domu włościańskiego oraz modele stołu, szafy, krzesła i ławki ze wsi Istebnej na Śląsku (dar p. M. Wysłouchowej); z przedmiotów, służących do codziennego użytku wymienić należy: kilkadziesiąt sztuk tkanin ludowych z okolic Nowogródka (p. H. Dybowska), 13 sztuk pojasków litewskich, takiż czepiec, czapkę noszoną przez drużki na weselach w Warmji (p. M. Kalinowa), trzewiki odświętne młodej Bretonki (p. W. Młodnicka), pas bogatego włościanina rumuńskiego (p. M. Wolska), z przyrządów służących do użytku domowego, zasługują na uwagę: model wozu do zwózki siana z pow. tarnowskiego (Z. Młynek), huculska trembita oraz przyrządy łowieckie (p. J. Schnaider), okazy wyrobów glinianych z Ukrainy (p. Fr. Rawita-Gawroński), zbiór roślin leczniczych, używanych przez Hucułów (J. Schnaider). Ponadto znaleźć można pomiędzy kilkuset pisankami bardzo interesujące okazy.

Naturalnie, że to dopiero jest zaczątek kollekcji. Oby tylko znaleźli się ci, którzyby zechcieli pomagać Towarzystwu ludoznawczemu w jego pracy, oby znaleźli się ludzie, którzyby w zrozumieniu dobra samej sprawy, tak ważnej, a zaniedbanej, pomnażali zbiory muzealne coraz to nowymi nabytkami. Dodać też nakoniec trzeba, że w razie założenia Muzeum krajowego Tow. ludoznawcze odda na jego użytek wszystkie swoje zbiory biblioteczne i muzealne.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8